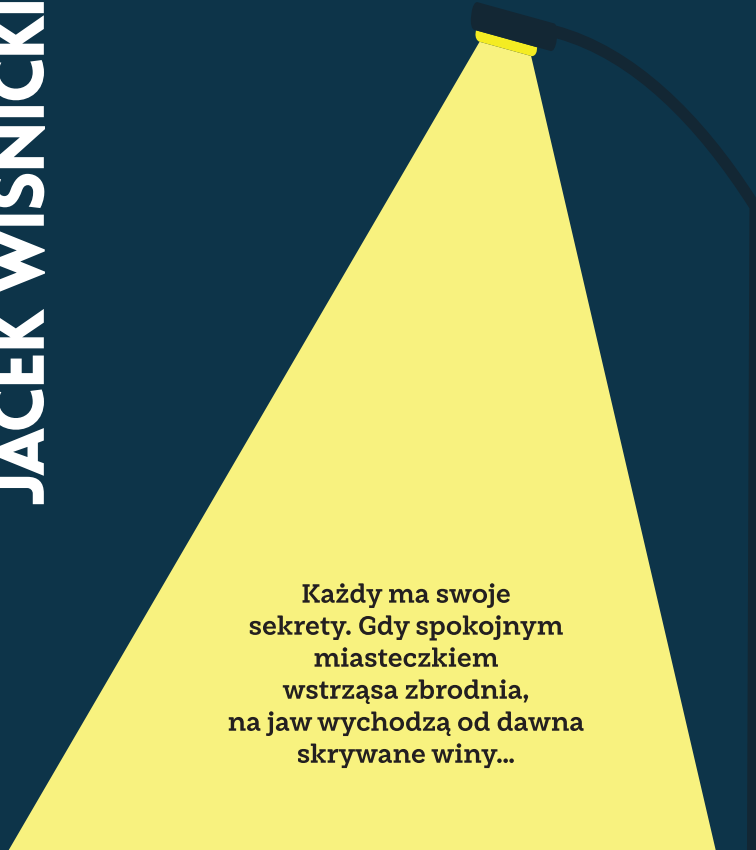


KARTOTEKA PITERA P.

JACEK WIŚNICKI



Każdy ma swoje
sekrety. Gdy spokojnym
miasteczkiem
wstrząsa zbrodnia,
na jaw wychodzą od dawna
skrywane winy...

**KARTOTEKA
PITERA P.**

JACEK WIŚNICKI

**KARTOTEKA
PITERA P.**

L i R A
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66730-60-1

Nie wiem, jak opisać wam tę kleistą ciemność. Otulała mnie tak ciasno, że nie mogłem oddychać. Nawet nie próbowałem zaczerpnąć powietrza, akceptowałem jej prawo. Prawo, by dusić. Wzierała się w skórę, przez co traciłem kontury, rozlewałem się wokół jak kleks z tuszu albo jak krew na posadzce kościoła. Nie wiedziałem, gdzie zaczyna się moja dłoń, nie umiałbym policzyć palców. Ręce sięgały daleko w przeszłość, ku dzieciństwu, nogi płynęły falami Wisły między przęsłami mostów. Wzrok nie mógł wydostać się z czaszki, choć wydawało mi się, że otworzyłem oczy. Wytrzeszczałem je spazmycznie, próbując złapać światło. Jakby to miało mnie ocalić. A może po prostu spały za powiekami. Może to była tylko chwila, a może dryfowałem w tej czarnej wodzie przez wieczność.

Nagle czas ruszył. Z pierwszym oddechem. Usta samowolnie, łapczywie chwyciły powietrze, przywołując igiełki bólu w żebrach. Poczulem zapach rzeki i słony smak krwi na spękanych wargach. Z powrotem

wlałem się w kontury ciała. Spróbowałem wymacać coś przed sobą, ale udało mi się tylko rozłożyć nienaturalnie ciężkie ręce, które zagłębiły się w miękkim jak pierzyna piasku. I nagle poczułem strach, tak wielki, że żołądek ścisnął mi się jak gumowa piłeczka w rękę osiłka — strach jak ogon szczura w szafce ze słodyczami, jak bieg czarnego pająka po rękę, jak ostrze zabójcy w plecach. Nie znałem źródła tego strachu, wiedziałem tylko, że muszę biec, ale ostry ból uderzył nagle i cała przerażająca realność sytuacji zaczęła się ulatniać jak powietrze z przebitej zabawki. Zrozumiałem, że nigdy nie ucieknę z tej jagodowej ciemności. I uleciałem z piaskowego posłania ponad kościół i pobliski las, po czym zanurkowałem nisko, ocierając się brzuchem o komin kamienicy braci Lulków, minąłem stare topole ze Sportowej, a w dole widziałem strażaków pijących wódkę przy pogorzeliisku, i zawracając łagodnie wokół willi Ekiertów, krążyłem majestatycznie jak ostatni bocian z ulicy Bocianiey, by wreszcie wrócić i zatonać w miękkim blaszanym dachu kościoła. Opadając lekko, widziałem, że w środku są wszyscy: i Maks, który dwanaście lat temu złapał się drutów elektrycznych przy przejeździe, nie zważając na napis „Baczność!”, i mecenas, i doktor, i pan sekretarz, który zsiadł nawet z roweru, jakby chciał mnie przepuścić w tym moim locie. Byli już wszyscy, nawet Kosior, który po raz tysięczny nabierał właśnie na swoją idiotyczną kiwkę Studenta, był Kolumb z papierosem, a do środka wbiegał właśnie spóźniony Munio. A między tymi i wieloma

innymi, rozdając szklanki i oranżadę, biegał malutki proboszcz Kuleba o miękkich, kobiecych dłoniach, którego złożonej osobowości nie udało się uchwycić na plastikowym witrażu. Wtedy otworzyły się wielkie drzwi i wjechał przez nie automobil samego hrabiego Ekierta, dokładnie taki jak na starym zdjęciu Grotowskiego. Jadąc powoli nawą główną, hrabia oglądał nasz kościół wyrosły na bagnach i krzyczał: „Szajze, obym się nigdy nie urodził w tej dziurze!”, ale wydawało mi się, że nie był w tym do końca szczery.

I znów mocne uderzenie. Piach. Strach. Ciemność. Otworzyłem oczy. Czerń ustąpiła szarości. Wstrząsnął mną spazm — na krótkie jak błysk wspomnienie upadku. Byłem na dnie kościelnej wieży. Sam. Żyłem. To obudziło moje serce, które szarpnęło, jakby chciało wyrwać się z piersi i odlecieć. Z każdą myślą i wspomnieniem narastała panika. Zrozumiałem, że on wciąż może być w pobliżu. Chciałem krzyczeć, ale usłyszałem tylko obcy, obrzydliwy charkot, spotęgowany przez betonowy szyb. Zapach rzeczno-piachu był odurzający. Głowa stała się ciężka. Zbyt ciężka. Ponownie opadłem na piach. Zaciągnąłem tę martwą czarną ciszę do płuc i ponownie zapadłem się w miękkim i gęstym niebycie. To wszystko, co pamiętam.

— Mógłby pan zacząć od początku i opowiedzieć po prostu, jak to się zaczęło? Tylko skupić się na faktach, a nie na opisach, hmm, ciemności.

— Postaram się.

— Kurwa, jak ciemno. Nic nie widać — wyrzucił z siebie Kosior. — Naprawdę powiedziałeś tym dziewczynom, że spotkamy się na mieście? Nie mogłeś wziąć numeru telefonu? Jak normalny człowiek?

— Mogłem, ale tak jest romantyczniej. Nie mógłbym zakochać się w dziewczynie poznanej w budzie z kebabem. Może jeszcze miała mi zapisać swój numer keczupem na serwetce? Powiedziałem, że skoro lubią nocne wędrówki i przygody, to na pewno na siebie wpadniemy.

— Jak teraz na siebie wpadniemy, to wybijemy sobie zęby. Nic nie widać. Ciemno i mgła.

— Skąd miałem wiedzieć, że będzie mgła?

— Ale generalnie były zainteresowane imprezą?

— Powiedziały, że z rozkoszą wpadną do naszego kolegi pić wódkę z kryształowych karafek i patrzeć, jak Munio robi się czerwony.

— Z rozkoszą?

— Z rozkoszą.

— Kupmy więcej wódki, żeby nie łązić już nigdzie w taką pogodę.

Przemierzaliśmy ulice naszego miasta, gdzie znaliśmy każdy kamień, a każdy kamień znał nas. Zima właśnie konała w ostatnich konwulsjach, wiosna przyczaiła się gdzieś w sąsiednim powiecie, a ulicę zasnuwała mgła, którą spotkać można tylko w takich miastach jak to. Jej lepka woń od razu wnika we włosy i ubrania. Mgła, która wtedy nie nazywała się jeszcze smogiem, to znak jesieni i zimy, a słodki zapach chleba z piekarni

pod lasem kojarzył nam się zawsze z wiosną i latem. Każdy dom i każde osiedle miały swój zapach. Mgła pod lasem była zimna i wilgotna, czuć w niej było kradzione drewno, sosnę i świerk; ta bliżej torów i okolic baraków była bardziej słodka i lepka, przesycona aromatem starych mebli, sanek i drzwi ze zburzonych domów i pustostanów. Najbardziej aromatyczna była mgła z naszej ulicy — jej konsystencję każdy z nas znał na pamięć. Tu mgła robiła się najgęstsza, jej ciężkie kłęby oplatały się wokół latarni, zamazywały kontury i rysy twarzy. Nasza mgła nie była jednorodna, czasem pojawiały się w niej prześwity, innym razem okrywała okolicę grubą pierzyną, w której bardzo łatwo człowiek tracił orientację. Czasem dało się słyszeć kroki, ale nikt nie przechodził, czasem zabłąkany spacerowicz pojawiał się nagle i zaraz znikał po drugiej stronie. Mgła na naszej ulicy powstawała z zawartości szaf i strychów, ze starych zdjęć, panięńskich sukienek i dawno zapomnianych listów. Zawsze kiedy ktoś na ulicy umarł, mgła nasączała się zapachem niepotrzebnych już pamiątek po zmarłym.

Grotowski nigdy nie zdradził, ile ma lat, i nie zdradziły tego też dokumenty, bo w mieszkaniu znaleźli podobno tylko stare, rozpadające się w rękach prawo jazdy, z którego nic nie udało się wyczytać. W tydzień po pogrzebie staliśmy wieczorem pod jego kamienicą, próbując odgadnąć kolejne zapachy, patrzyliśmy na komin i na siwy dym, który nie chciał oderwać się od tej ulicy i tego miasta i ciężko opadał między bezlistne drzewa.

— Ziuta robi porządki — powiedział Kosior. — Pali dowody rzeczowe. Podobno już dostała eksmisję.

Opowiedziałem o mgle i zapachach.

— W sumie racja. Ale piekarnię zamknęli z dziesięć lat temu. Przecież dziś to już ruina.

— Zapomniałem.

— Pamiętałeś. Ty tak lubisz.

W pewnym momencie komin wypluł czarny kłęb sadzy i zwęglonych strzępów papieru, które wiatr próbował unieść w noc. Jeden z nich, widać za ciężki, kołując jak liść, spadł do naszych stóp. Kawałek starej fotografii. Orkiestra strażacka. W odkrytym samochodzie stoi mężczyzna w kapeluszu. Na siedzeniu obok — kobieta z parasolką.

— Hrabia Ekiert?

— Tak, a to Grotowski. — Kosior wskazał na jednego ze strażaków.

Przyjrzałem się bliżej.

— Skąd wiesz?

— Coś kiedyś wspominał.

— Co?

— Nie pamiętam. Idziemy. Nie wiadomo, o której dziś Blondyna zamknie.

— Zapchany przewód. — Usłyszeliśmy znajomy głos za plecami. Kominiarz Proca stał, wpatrując się w komin kamienicy Grotowskiego. — Trzeba będzie przeczyścić — powiedział.

— Cześć, Proca. O tej porze w robocie?

— Wracalem do domu, ale jakoś tu mnie przywiało.

— Mgła.

— Przyzwyczajenie. Parę lat się tu mieszkało. Pójdę. Obejrzę. Może na flaszkę dadzą. Kalendarzyki mam. Pałą szmatami, to kominy zachodzą. Byłe moja nie zaszała, jak jej komin dziś przeczyszczę! — zarechotał i uderzył się w udo, aż huknęło. — Spierdałam!

— Spierdalaj, Proca.

Szliśmy powoli, brnąc w gęstniejącej mgle. Na środku ulicy stał mężczyzna, chwiejąc się, jakby desperacko balansował na linie. Żółte światło latarni z trudem przebijało się na poziom chodnika. Pewnie dlatego zobaczyliśmy pijanego dopiero w ostatniej chwili. W rękę ścisnął plastikowy pięciolitrowy kanister, w jakim kupuje się płyny do samochodu. Mężczyzna próbował utrzymać równowagę i jednocześnie napić się z baniaka. Bezskutecznie. W pewnym momencie, pod wpływem jakiegoś podmuchu mentalnego wiatru, zatoczył się gwałtownie, przebiegł całą ulicę i uczepił się parkanu. Dopiero tu mógł się napić. W szale samozniszczenia pociągnął spory łyk, ale większość cieczy spłynęła mu po brodzie i się zakrztusił. Szarpnął ręką, lecz ta nadal bezwolnie i głupio trzymała się rdzewiejącego pręta. Szarpnął jeszcze raz i teraz z kolei złośliwa i zbuntowana kończyzna nie stawiała oporu, a Zawiany, jak go w myślach nazwałem, wybiegł z impetem na środek ulicy. Rozstawił szeroko nogi, jak surfer mknący po wysokiej na kilka pięter fali, i wbił wzrok w znajdujący się kilka metrów dalej próg zwalniający. Stał tak chwilę i my też zaczęliśmy wpatrywać

się w ową przeszkodę drogową, zastanawiając się, co tak bardzo go w niej zafascynowało? Nie znaleźliśmy przyczyny, próg tkwił uparcie i niezmiennie w tym samym miejscu. Zawiany odetchnął głęboko, rozluźnił mięśnie, aż raptem ruszył w kierunku progu, który być może potężniał w jego umyśle jak olbrzymia fala tsunami. Już po dwóch niepewnych krokach nagle skręcił i zgrabnie nas wymijając, znów uczepił się parkanu. Odetchnął raz jeszcze, kolory powoli wracały mu na twarz. Zwyciężył.

* * *

U Blondyny — mały drewniany warzywniak, pomalowany farbą olejną, który zawdzięczał swoje istnienie tylko przyznanemu kilka lat temu pozwoleniu na handel alkoholem, był jeszcze otwarty. Wejście otaczały sterty pustych skrzynek i kartonów. Wyglądało to jak ufortyfikowana brama. Niezależnie od pory dnia i roku strzeżona była przez kilku mężczyzn. Podeszliśmy bliżej. Dziś na warcie stali: Wysoki Franek, Anuż — grabarz, pan Kszykszy, a pod siatką, kilka kroków dalej, próbując odpiąć rozporek, chwiał się Taksiarz.

— O! — powiedział na nasz widok Franek, wkładając paluch do ust, jak zawsze, kiedy był pijany.

— Dobry — odpowiedzieliśmy na mętne spojrzenia.

W środku, w świetle zwisającej z sufitu żarówki w czerwonym kloszu, majaczyły na wpół puste skrzynki, w których dawało się rozpoznać podeschnięte warzywa

i owoce. Ze stojącego w kącie regału zwisała kiść brązowych bananów i napoczęty warkocz czosnku. Obok zepsutej zamrażarki na lody stała beczka pełna aromatycznych ogórków. Wysoko na półce, obok wystawy butelek i puszek po piwie, grał mały, czternastocalowy telewizor. „M jak miłość”.

— Cześć, chłopcy. To, co zwykle? — spytała, nie odrywając oczu od ekranu blond ekspedientka, która wojnę z okoliczną konkurencją wygrała dzięki swojej bezpośredniości, osobistym kontaktom z klientelą i obfitemu biustowi. Wszystko to pozwoliło jej na zdobycie niezbyt może wielkiego, ale wiernego kręgu pretorianów, czyli „chłopców”, jak zwykła ich nazywać. Żeby prowadzić monopolowy, niewątpliwie trzeba mieć specjalne zdolności, a nie każdy je posiada. Blondyna była jedną z tych nielicznych.

— Weźcie sobie popitę. Dwadzieścia dwa dwadzieścia — powiedziała, zawijając pół litra w papier.

— Pamięta pani Grotowskiego? — spytałem. W telewizorze właśnie przewijały się napisy końcowe, więc ekspedientka z czystym sumieniem mogła odwrócić wzrok i po raz pierwszy tego wieczora jej wielkie, obmalowane kredką oczy zatrzymały się na mnie.

— Mieszkał po sąsiedzku. Wpadał tu postać z chłopcami. A co?

— To wie pani, że nie żyje?

— Wiem. Przecież oni — wskazała głową cienie za drzwiami — przychodzą tu od stypy. Wyłynęli w rejs i nie mogą dopłynąć. Swoje lata miał, swoje przeżył.

Chwalił się, że pierwszą studnię to jeszcze jakimś hrabiemu kopał. No i ostatnią też podobno. Zajechał do mnie ze dwa tygodnie temu po ćwiartkę, bo on, zanim się brał do wiercenia, musiał ziemię ochrzcić. Tak mówił. Chłop z dziewięćdziesiąt lat miał. Jak on pierwsza studnię chrzcił, to tu jeszcze nic nie było. Całe miasto Grotowski chrzcił, bo to przecież tyle lat jedyny specjalista był. No i mówi, że jedzie tam, gdzie kiedyś pałac stał, kopać, bo nowe domy postavili. Zajechał tą swoją nysą, co to ją parę tygodni temu Ziuta puściła za litra i dwa wina. Wiem, bo u mnie targu dobijali. Ja wszystko wiem, bo i tak do mnie trafiają prędzej czy później, jakbym jakimś rejentem była albo księdzem. Kiedy któryś się zabierze, to do mnie lecą zamiast do kościoła, strach w oczach, bo wiedzą, że blisko chodzi i do nich też przyjdzie, a wódka robi tak, że człowiek czasem wie, kiedy ma przyjść, i boi się bardziej, bo i nieraz po pijaku ją widział, jak przechodzi. Do mnie przychodzi „poradź, królowo”, a najlepiej to przytul jednego z drugim, do cycka najlepiej, i... — I długo jeszcze pewnie prowadziłyby swój monolog, może nawet przegapiłyby początek „Na Wspólnej”, gdyby nagle nie otworzyły się gwałtownie drzwi i do środka nie wtargnął Majnejmis. Dyszał ciężko, a pot spływał mu po śmiertelnie bladej twarzy. Z trudem łapiąc powietrze, próbował coś powiedzieć, ale nie udało się. Zrezygnowany usiadł ciężko na nieczynnej zamrażarce do lodów dawno nieistniejącej marki.

— Maniek... No i trzeba było tyle pić? — przerwała ciszę Blondyna. — Młody jeszcze jesteś, a już ją widziałeś? — spytała. Majnejmis pokręcił tylko głową, ujawniając swój egipski profil. Wciąż dyszał ciężko, ale powoli się uspokajał, jakby coś, co go gonilo, nie mogło przekroczyć progu tej drewnianej budy, jakby pretorianie przy bramie ze skrzynek mieli moc, by powstrzymać nieproszonych gości.

— Ludzie, fak, ale jazda, fak — wydyszał wreszcie Majnejmis. — Fak. Nie piję już, kurwa, ni kropli, ni chuja. Wiecie... Wiecie, kto do mnie dzwonił przed chwilą?

— Krzysztof Ibisz — powiedział Kosior. — Skąd mamy wiedzieć?

— Stary, kurwa, człowieku, diabeł.

— Co?

— Diabeł. Szatan kurwa.

— Co chciał?

— Charczał.

— Tylko?

— Tylko? Tylko?! Ja czegoś takiego jak żyję nie słyszałem. Fak, panowie. Dajże ćwiartkę, bo zdechnę. Patrzcie, jak mi ręce latają...

— Masz setkę, powinno wystarczyć — powiedziała ze znawstwem Blondyna. — Niejednego już leczyłam, bo i jak lekarz też dla nich jestem. Pięć.

— Kurwa, men, panowie, ale głos miał, aż mnie trzęsie...

— Pięć złotych.

— Nie mam. Zapisz.

— Wkład się skończył. Nie ma, to nie ma.

— Help, chłopaki, plis — zwrócił na nas swoje ciemne spojrzenie Majnejmis i wiedzieliśmy już, że ulegniemy i sfinansujemy jego terapię od demonów, i jeszcze dziś wieczór przepłoszymy złe kłębiące się za murami budy. Zaczęliśmy szukać w kieszeniach drobnych, kiedy nagle ciałem Majnejmisa wstrząsnął spazm. Znowu pobladł i rzucił się, jak kiedyś Taksiarz w ataku padaczki, a nas dobiegł przytłumiony głos piosenkarza: „Czarne oczy, widzę czarne oczy...”

— Czizus, fak, panowie! — krzyknął Majnejmis, wyciągając ku nam dzwoniący i wibrujący telefon. — Znowu numer zastrzeżony! Znowu on!

— Uspokój się. Odbierz. Daj na głośnik — dyrygował Kosior, który nigdy nie tracił głowy.

Drżącą ręką Mariusz Maj, zwany też Mańkiem oraz Majnejmisem, wcisnął przycisk. Wszyscy zamarliśmy w oczekiwaniu, a Blondyna wyciszyła telewizor, tak że słychać było tylko buczenie żarówki. Pochyliliśmy się jeszcze bardziej.

— Nic — ocenił Kosior.

— Chrchreechr! — Głos w komórce brzmiał, jakby pochodził z innego świata, ciarki rzeczywiście przecho-
dziły po plecach.

Kosior błyskawicznym ruchem chwycił telefon i wrzucił go do stojącej w cieniu beki z kiszonymi ogórkami, których woń była nierozzerwalnie złączona z tym miejscem, zaś ogórki oraz sprzedawany na kubeczki sok o właściwościach leczniczych sływały w całym mieście.

Okazało się, że ich dobra moc leczy też telefony z piekieł. Głos zamilkł.

— To po diable.

— Dzięki — powiedział po chwili niepewnie Majnejmis. — To macie te pięć złych?

* * *

Światło, jak wieczna lampka tkwiące nad wejściem do budy, szybko utonęło we mgle. Tylko niektóre latarnie przed nami pozwalały zorientować się w przestrzeni, ale i one nagle zniknęły, gasły, kiedy podchodziliśmy, by za moment zabłysnąć po drugiej stronie. Błędne ogniki miejskich wędrówek. Mgła oprócz zapachu dymu niosła ze sobą delikatny aromat bagien, które wiele lat temu znajdowały się na miejscu miasta, i wydawało się, że ziemia śni tej nocy sen o dawno osuszonych torfowiskach, błędnych ścieżkach i zagubionych wędrowcach. Gdzieś niedaleko zawył żałośnie pies. Przed niespełna stu laty, kiedy młody hrabia Ekiert podczas podróży po Anglii wpadł na pomysł wybudowania doskonałego miasta — miasta cudu, które byłoby wyrazem pełni — ulica Brzozowa, którą właśnie idziemy, nie istniała nawet w planach. Chodziły tedy co najwyżej łosie w swoich samotnych wędrówkach, zapuszczali się tu nieliczni mieszkańcy okolicznych wsi, żeby nazbierać rzadkich ziół i wikliny. Nie istniały aleja wysadzana klonami, brzydki dom z wiatrakiem opodal oczka wodnego, który nagle wyłonił się z mgły po

prawej, nie było dziurawej asfaltowej nawierzchni ani wypełnionej brudną wodą wyrwy, w którą za chwilę, myśląc się w szacunkach co do jej głębokości, wejdzie Kosior, po czym szpetnie zaklnie. Na miejscu naszego miasta istniały wtedy trzy odrębne części, na trzech niewielkich, piaszczystych wzniesieniach. Była więc wioska przycupnięta po drugiej stronie torów, były stajnie i zabudowania cegielni Ekiertów z robotniczymi czworakami, było też kilka położonych na największym wzniesieniu zabudowań folwarcznych, w których dziś mieści się szpital psychiatryczny.

Pomiędzy tymi trzema ośrodkami rozciągał się las oraz bagna i tylko ostra zima umożliwiała swobodne wędrówki między nimi, co jednak zdarzało się sporadycznie, bowiem skuteczniej niż bagna te trzy skupiska ludzkie dzieliła wzajemna niechęć. Napływowi robotnicy z cegielni, gospodarzący od zawsze na swoich kilku morgach kmiecie, żyjąca w dostatku i stabilizacji służba majątku Ekiertów — wszyscy oni pozostawali nieufni, wzajemnie sobie zagrażający, skłóceni. Gnieźdzący się w czworakach robotnicy, odczuwający chroniczny brak kobiet, zazdrościli posiadającym skromne co prawda, ale własne domostwa chłopom, którzy z kolei z zawiścią patrzyli na pozbawionych trosk pracowników dworskich. Tylko niefrasobliwości i niezależnemu od czasów i ustroju brakowi wyobraźni urzędników można zawdzięczać to, że trzy skłócone wyspy wpisane zostały w jeden administracyjny organizm. Do czasu rozpoczęcia wcielania w czyn idei hrabiego Alojzego Edwarda

Ekierta, ostatniego dziedzica tych terenów, kontakty wzajemne ograniczały się do niezbędnego minimum, a koncentrowały wokół stacji kolejowej, zbudowanej na nasypie biegnącym przez bagna. Tam też, wokół peronu odbyło się przynajmniej kilka bójek, z których największa opisana nawet została w ówczesnym dzienniku, jako że były dwie ofiary śmiertelne i kilkunastu rannych, a na miejscu zdarzenia musiał interweniować konny oddział wojska. Być może, gdyby nie dowodził nim wiarus z czasów Wiosny Ludów, doszłoby do masakry. Początkowo obawiano się bowiem, że wybuchło kolejne powstanie, jako że chłopci szli w kierunku stacji uzbrojeni w kosy. Może właśnie stąd wzięła się idea Aureolii — pomysł, by uporządkować przestrzeń, a dzięki temu złagodzić animozje. Zbudować centrum, okrągły rynek, z którego promieniście rozchodziłyby się ulice zamieszkałe przez powściągliwych, lecz dobrych i pobożnych mieszkańców, otoczonych kwitnącymi i owocującymi cały rok ogrodami i sadami, których wizja utrwalona została kilka lat temu na plastikowych witrażach naszego nowego kościoła. Tak powstało miasteczko z pozoru nijakie i brzydkie, jakich wiele znajduje się w okolicy wielkich miast, na tyle ważne, żeby zaznaczyć je na dokładniejszych mapach czarną kropką, i na tyle niepoważne, by nikt nie zauważył, gdy amorficzny ukwiał aglomeracji wchłonie je kiedyś w swój organizm.

Bliskość dużego miasta sprawiła, że nasze miasteczko w oczach większości jego mieszkańców i przyjezdnych nie zyskało nigdy autonomii, nie miało własnej

historii, centrum ani osobowości. Jednak zatrzymując się tu na chwilę, wpatrując się w banalne prostopadłości domów, nieciekawe, czujnie przyglądające się przechodniom twarze mieszkańców, spacerując po nierównych chodnikach, nagle odkrywało się w tym wszystkim ślady czegoś większego, jakiegoś zamierzenia, które roztopiło się w nijakości i nudzie. To miasto ludzi, z których każdy miał być kimś lub jeszcze nim będzie. Na razie tkwili jednak w tej plątaninie małych ulic jak w sieci, czekając na swojego szlifierza, który w cudowny sposób wydobędzie z nich ich właściwy, ostateczny kształt. A i ulice te oraz domy — starsze, przedwojenne wille, powojenne chałupy, trzykondygnacyjne prostopadłości o spadzistych dachach z lat osiemdziesiątych i najnowsze, pokryte sidingiem oraz kolorowymi tynkami przysadziste domki, z czasem odkrywały przed patrzącymi to, czym pierwotnie miały być — zabudowaniami najdumniejszego miasta w kraju, urbanistycznego Edenu: Aureolii.

Kiedy w latach dwudziestych hrabia Ekiert, dziedzic tych ziem i wielki marzyciel oraz ojciec projektu, zbankrutował, kolejno wyprzedawał swoje marzenia i plany pod małe, robotnicze, lub nieco większe, nowobogackie parcele. Zniechęcony, w 1939 roku zmuszony został do przyjęcia obywatelstwa niemieckiego i wymazania ze swojego życiorysu wszelkich związków z naszym miasteczkiem, których — według *Krótkiej historii miasteczka* — wyparł się nawet na łożu śmierci. Do opuszczonego przez swego twórcę marzenia stopniowo

zaczęli napływać robotnicy i chłopci szukający szczęścia w mieście, wraz z rodzinami, dobytkiem, zwyczajami. Przyszli też i nasi rodzice, wybudowali brzydkie domy, ogrodzili wysokimi, giętymi ogrodzeniami swoje posesje, spłodzili dzieci, a na koniec wybudowali wielki kościół.

Gdzieś niedaleko zaterkotał zapalany silnik, mgłę próbowały rozjaśnić reflektory samochodu, który ciężko zjechał z krawężnika. Zachrzęściła stara skrzynia biegów i jezdnią, niemal ocierając się o nas ciemna burtą, przepłynęła jak statek widmo zdezelowana, przerdzewiała i dobrze znajoma furgonetka marki Nysa, którą nieraz już zdarzyło się nam pchać. Samochód zniknął we mgle, dławiąc się paliwem. Spojrzałem w kierunku, z którego przyjechał.

— Na kogo jeszcze czekasz? Na Alojzego Ekierta?

— Dziwna mgła. Pachnie bagnem...

W odpowiedzi Kosior zaklął szpetnie, wdepnąwszy w głęboką kałużę.

— Masz swoje bagno!

Przed nami migotały już światła domu Studenta, gdzie dziś mieliśmy biesiadować, korzystając z nieobecności jego rodziców.

* * *

Pod domem Studenta, dużym, obitym sidingiem perelowskim sześcianem, chodził nerwowo chłopak. Miał opinające się na pośladkach spodnie od garnituru

i krótką sportową kurtkę nowojorskich Knightsów. Zgarbiony wysoki blondyn sprężystym krokiem przemierzał odległość od skrajnych słupków ogrodzenia domu, po czym zawracał na pięcie i ruszał w przeciwnym kierunku. Gdyby miał karabin lub choć halabardę, wyglądałby na wartownika. No, może jeszcze rezydencja Studenta musiałaby zostać odarta z plastikowego sidingu i wyposażona przynajmniej w gipsowe płaskorzeźby. Kiedy podeszliśmy bliżej, rozpoznaliśmy w wartowniku Diodaka, mocno wyalienowanego geniusza komputerowego, którego znaleźliśmy jeszcze z podstawówki. W szkole zasłynął tym, że czasem porozumiewał się w języku BASIC, a na olimpiadzie informatycznej napisał w AC-Logo program, w którym żółw rysował cyncate modelki ze „Słonecznego patrolu”. Wystarczyło wpisać imię aktorki. Wykorzystywał przy tym fraktale, jednak nie zyskał uznania w oczach jurorów, za to zdobył duży szacunek w szkole.

— Czołem, Diodak — zaczęliśmy go, jednak był tak zajęty mówieniem do siebie i tak zatopiony w myślach, że zignorował mnie zupełnie, tylko zawrócił na pięcie tuż przed moim nosem. Kosior poszedł na konfrontację i zrobił kilka kroków w jego kierunku, wypinając swą muskularną pierś. Diodak sunął na niego równymi krokami, jak ten żółw z programu AC-Logo. Zapewne doszłoby do zderzenia, ale systemy samokontroli Diodaka musiały zadziałać. Zatrzymał się nagle i wbił w nas oczy, po czym zamrugał, jakby właśnie wyłączał wygaszacz ekranu.